

BIBLIOTECZKA NARODOWA



1/6/13

MARYA KONOPNIČKA.

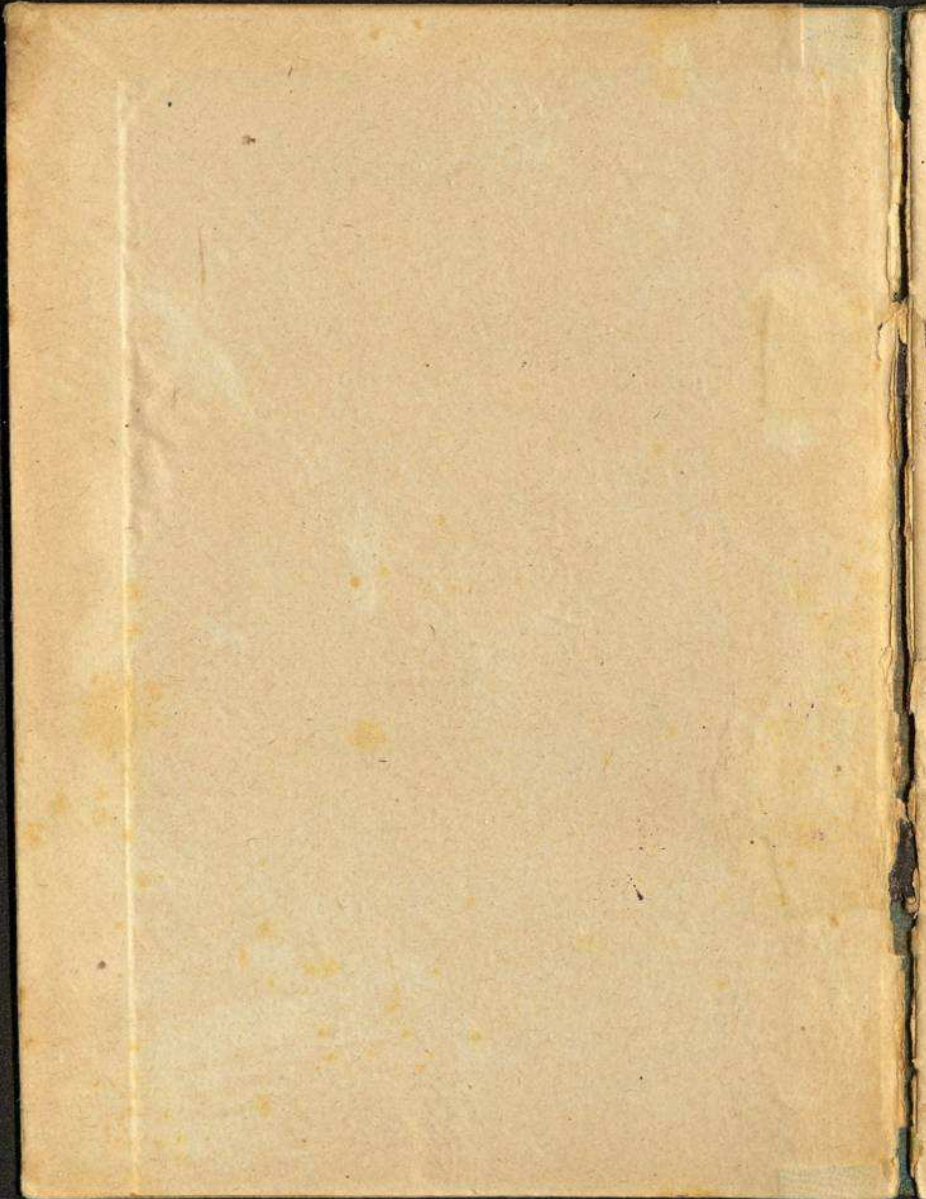
Ziemie Polskie.

KRAJOBRAZ.



WARSZAWA
KSIĘGARNIA M. ARCTA

291



477
7.I
Biblioteczka Narodowa № 7.

MARYA KONOPNICKA

Polskie Ziemie.

KTADJODIAZ

NAKŁADEM KSIĘGARNI S. BUKOWIECKIEGO.

Marszałkowska Nr. 109 w Warszawie.

1907.



KON
POL

291

Oblicze ziemi naszej oddycha szerokim spokojem. Jestto spokój pogody i siły. Ziemia ta czuje się sobą. Czuje się całością i jednością w sobie. Czuje, że na dziedzinach swoich siedzi dobrem i prawem.

Granic jej obejścia nie trzeba szukać po sportnych przestrzeniach i łupieżcych szlakach, które jeden wiek wytycza a zaciera drugi. Sama natura sypała graniczne kopce jej gór; sama natura nalewała bezdno jej granicznych mórz; sama natura puściła w biegi rzeki po jej granicznych rubieżach.

Dokumenty jej osiadłości leżą w dziejach jej rozwoju widne i na wiek wieków wszystkim narodom czytelne.

Rosła ona, jako rośnie dziecko, samą siłą życia do naznaczonej przez przyrodę miary.

Tam, gdzie było jej pierwotne gniazdo, i ona już była w zawiązku cała. Jej wzrost, jej przybijanie spółszczepowych i spółrodowych dziedzin, to akty koniecznej rozprężliwości, dążącej do osiągnięcia pełni swego organizmu; to przyrodzony pęd do ziszczenia samej siebie w danym dziejowym momencie.

To prawie nietyle zdobywcze oręża, ile naturalny rozwój samowiedzy plemiennego ducha, któ

rego czucie się sobą budzi się, wzmacnia, rozszerza, kojarzy i prze do wyjawienia się jednolitym płomieniem życia w skończonej, po ostatni wręb swój pełnej i zamkniętej w sobie całości. Która praca jest pracą wieków; a choć podczas przerwana gwałtownie być może, zamknięta przecież, przed dopełnieniem swych dziejowych zadań, nigdy nie bywa. Kierunek tylko parcia się odmienia, a duch zatamowany w drodze, którą się rozpręgał wzdłuż i wszerz, całą mocą uderza w głęb i wzwyż, pracę swą kończąc nie już przybieraniem powierzchni życia, ale utwierdzaniem fundamentów jego i wzbijaniem szczytów.

.
Ziemia nasza narodziła się czasu pogody i ciszy. Było to—musiało to być—jakoweś słoneczne zaranie; jakaś promienna, tęczowa chwila sojuszu pomiędzy niebem a ziemią; jakiś mocny i płodny wiew życia; jakieś wielkie „jaro” przeszłości.

Kiedy starsze susze europejskie wydierały się w gwałtownych kataklizmach z prastarego morza, rwąc po kawale wyspy i półwyspy swoje wprost z jego zapienionej ryczącej gardzieli; kiedy wynurzały się z walki tej poszarpane, niepełne w sobie i po dziś dzień na spornem terytorjum żywiołów stojące, — ziemia nasza leżała cicha — skupiona, pod świętą tajemnicą wód, w głębokiem zadumaniu stawiającego się w łonie jej żywota.

W tych to wiekowych przedczasach, tłuste, rodzajne namuły kładły się po niej nieprzeplodzoną warstwą czarnoziemów; potężne butwiele wodorostów czyniły gniazda i żyły torfiaste, a przedpotopowe zgorzeliska praborów, wsączywszy żywice swoje w szerokie pomioty piasków, słonecznemi kruciami bursztynu waliły się po sobie w olbrzymie zasieki kopalnego węgla.

Aż gdy się wypełniły czasy, pękło i samo złuskało się na niej zwierciadło morza, które się przed wiekami o Ural jednym wrębem, a o Karpaty drugim zaparło było, a ona, razem z tą najmłodszą wschodnio-europejską suszą, która później imię Sarmackiej Równiny dostała, wyjawiała się słońcu w łagodnych, rozległych, lekko falujących płaszczyznach i wyżach tak, jak ją umiały pierwotne wody, wzbierając wyniosłością od wschodu ku zachodowi swemu, środkiem nieco zakłęśła, odrzucami zwierciadła onego po dwu okrajach osrebrzona, zębatą koroną tatrzańskich turni ukoronowana, twardą więzią wysoko wzbitej piersi dział wodom czyniąca; szeroka, polna, roztworzystą, pełną błogosławieństwa życia i łaski płodności. Wnet Góry jej i Gorce na granitowych trzonach siadłe, rozbiły słonecznemi szczyty; wnet ponalewały jeziora mrokiem i światłem swoje malachitowe czasy i czasy z szafiru.

Wnet z tajemnych źródlowisk buchnęły wody słodkie, żywe, grające; wnet rozstrumieniły się rzeki i ruczaje podolami swemi, a ziemia stała się jakoby harfa strojna, osnuta w srebrne i dźwięczne promiona.

A już przymorskie płaskocie opadały w rozciekliny i łęgi; już dymili tchem ciekłym podmiękle oparzeliska i bagniste grzęsła.

Zamroczyły się puszcze, zahuczały bory, a nieszchodzone ostępy i knieje srogich wielgolasów obezwały się porykiem i chrapaniem zwierza.

Wszakże samem łonem ziemi, w obiodrze gajów ujętem, poczęły słać się łany, przełany, — szumem zbożowym i szeptem traw dźwięczne; poczęły słoneczne niwy i łęgi iść, a wstępować na pagóry i zstępować w doliny, niosąc z sobą okwitość swoją majową i złotą.

A wtedy świat stał się jakoby cichszy, jakby bezpieczniejszy w sobie.

Do huku mórz szturmujących południowe i zachodnie lądy, które się czasu wojny tej nie rozdziewały ze skalnych pancerzy; do trzasku i łomotu dłut, któremi Żywioty - Olbrzymy rzeźbiły w dzikim zamęcie linje graniczne spornych swoich dziedzin; do ogłuszającej i morderczej wrzawy zjadłego boju z naturą, przybył ton nowy, szeroki, potężny ton zgody z nią, przymierza, współpracy. Do skłóconego chóru posępnych i okrutnych głosów przybyła nuta polna, pogodna, nuta ufności, nadziei.

Człowiek - Adam, człowiek - oracz, wyjawił się tu w istotnem przeznaczeniu swoim; wyjawił się w błogosławieństwie i słodyczy pracy, a nie w je kłatwie prastarej.

Praca jego nie była burząca; ona budowała przyszłość. Nie była ani podstępny ani gwałtownym rabunkiem jednodniowego łupu, na siłach wrogich, śmiertelnem ostrzem przeciw niej zwracanych. Była prawa, prosta, uczciwa, uczciwość i prostotę w pierś ludzką szczepiąca. Była zapładnianiem ziemi, która chciała rodzić. Była opatrzeniem jutra i przyszłych pokoleń. Tu, razem z pługiem, wodził oracz duszę swą po łanie; duszę śpiewną, zbożną, zadumaną o jutrze i jak łan runiejącą silnym, świeżym posiewem, który życie tylkoco po jej bogatej nowiźnie rzuciło.

Tu wodził troskę i nadzieję swoją. Tu orał i śpiewał razem. Tu się urodziła—mocna pieśń życia, mocna pieśń nadziei.

Tu się poczęła wielka, wyroczna praca uduchowienia każdego żdźbła ziemi. Praca, dla której człowiek na świat się narodził, aby wypełnioną była.

Nie był tu oracz niewolnikiem ziemi; on znał się jej synem. Za macierz ją znał. Za macierz dobrą, pamiętliwą, szczerą.

Miłość Ziemi - rodzicielki, Ziemi - żywicielki pokoleń i plemion, wyjawiała się tu najsilniej, najbujniej, najbezpośredniej.

Tu Ziemia rozmnożyła cudowne swe moce: rozmnożyła gniazda i nasiona.

Tu przyszła obfitość rodów i obfitość chleba.

A za obfitością rodów przyszło życie wspólne, opolne, gromadne, wiecowe; a za obfitością chleba przyszła otworzystość serca i ręki; łaskawość przyszła, ludzkość, zaufność, przezpieczność. Przyszła pogoda czoła i siła ramienia.

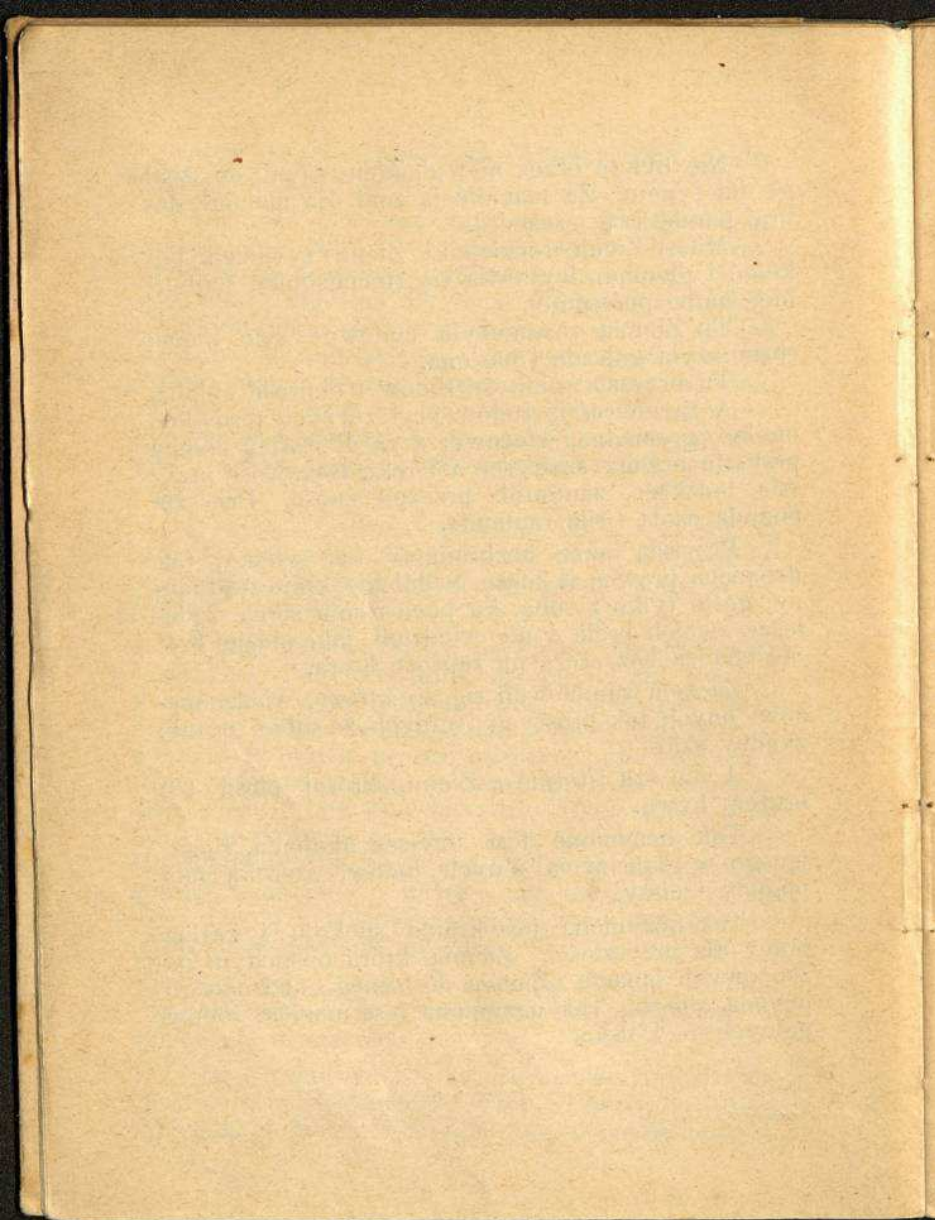
Przyszła także bezbronność tak wielka, tak dziecięca prawie, iż męże, w dalekie kraje ztąd idący, gęśle tylko z sobą, ku pocieszeniu serca, z pieleszy swoich brali, a nie wiedzieli, jako indziej brat nie chadza bez oręża na zaproże brata.

Zaczem zdumiewali się ci, którzy, widząc mężów onych tak prostych i ufnych w sobie, pytali: zkądby szli?

A oni szli istotnie z Ziemi, której pieśń też orężem bywa.

Tak uczynione jest miejsce ukojenia, sięgającego w głąb życia innych ludów, szeroką falą pogody i ciszy.

Tak uczyniona jest kraina spokoju i kraina pracy dla przyszłości; Ziemia, która gospodyni na zbożowych łąkach; Ziemia dostojnego, tętnącego pogodą oblicza. Tak uczyniona jest macierz rodów polnych — Polska.



II.

Organiczna jedność ziem polskich nie wyłącza bogatej różnaitości tak ich wewnętrznego ukształtowania, jak i zewnętrznej postaci. Owszem, jedność ta obejmuje sobą całe, tak bardzo odmienne w sobie światy, że przyrodzona ich różność stanęła jako potęga czynna, wyjawiająca się w różnaitości form życia spółrodowych, a jednak niezmiernie różniących się między sobą gromad ludzkich, światy owe zamieszkujących, jak: górali, puszczaków, pomorców, pojezierzan i właściwych, na równinach osiadłych polan.

Różnice te, głęboko sięgające w życie, w naj-pierwszem jego społecznem zaraniu, wyprzedziły niewątpliwie wszelkie etnograficzne podziały tak Ziemi Polskich, jak i zamieszkującej je ludności, i ustalone już były na mocnym gruncie przyrodzonych właściwości ziem tych, tudzież wyrobionych i nabytych cech siedlącego się na nich narodu, kiedy przyszły historyczne nazwy Wielkiej i Małej Polski, Chrobatów, Ślązaków, Mazurów, etc. Wszystko to było niegdyś krewne i razem się przed wiekami Bramą Narodów na oną najmłodszą suszę tej połaci świata parło, pchnięte jednym świeżym sił życia wybuchem.

Raz wszakże siadłszy na dziedzinach swoich, czy to z własnowolnego obioru, czy wyparte ku nim, poczęło wnet nasiąkać przyrodzoną roznością owych dziedzin, wnet iść i rość po ich najłatwiej mającej się ku życiu pochyłości. A to, aż do wyrobienia, do wykształtowania w sobie bardzo znamiennych, ściśle do wymagań współżycia i współpracy z naturą przystosowanych właściwości, które nie omieszczały z biegiem czasu wpłynąć przeważnie tak na fizyczny, jak i na psychiczny ustrój onych spółrodowców, kładąc na nich głębokie, niezbyte piętna. W takim stopniu, że kiedy historia głos zabiera a kronikarze mają się pióra, już o tych spółrodowcach mówią, jako o rozlicznych, nie tylko wybitnie różniących się między sobą, ale nieraz wrogich sobie ludach i ludkach.

Owszem, pomijając owe przedhistoryczne, od natury dziedzin zależne tworzenie się ważnych i głębokich różnic w ich zaludnieniu, nie tylko przyjmują ludki owe za odrębne entograficznie jednostki, ale przez czas bardzo długi i o wspólności przyrodzonej, o jedności samychże dziedzin mętne mają pojęcie.

Tak silne bowiem różność ich przyrodzona wyciska na nich piętno, iż w pierwszym zaraz wrażeniu przedstawiają się one jako odrębne i zamknięte w sobie krainy. Więcej nawet: jako odrębne i zamknięte w sobie światy.

Tak więc, zanim ludzie ziemie te dzielili, już one dzieliły się same przedziwną roznością swoją. Dzieliły się rozbudową gór i dolin, głębokim mrokiem puszczy i świetlistością jezior, hukiem mórz i milczeniem stepów, szerokim wolnym oddechem równin, i zatajonym ziewem przepaściстых bagien.

Dzieliły się tem wszystkiem, czem je w szczególności jakiś sposób nadała, wywianowała, ubogaciła

lub upośledziła przyroda. I ten jest podział ziemnych naturalny, i co za tem idzie—pierwotny.

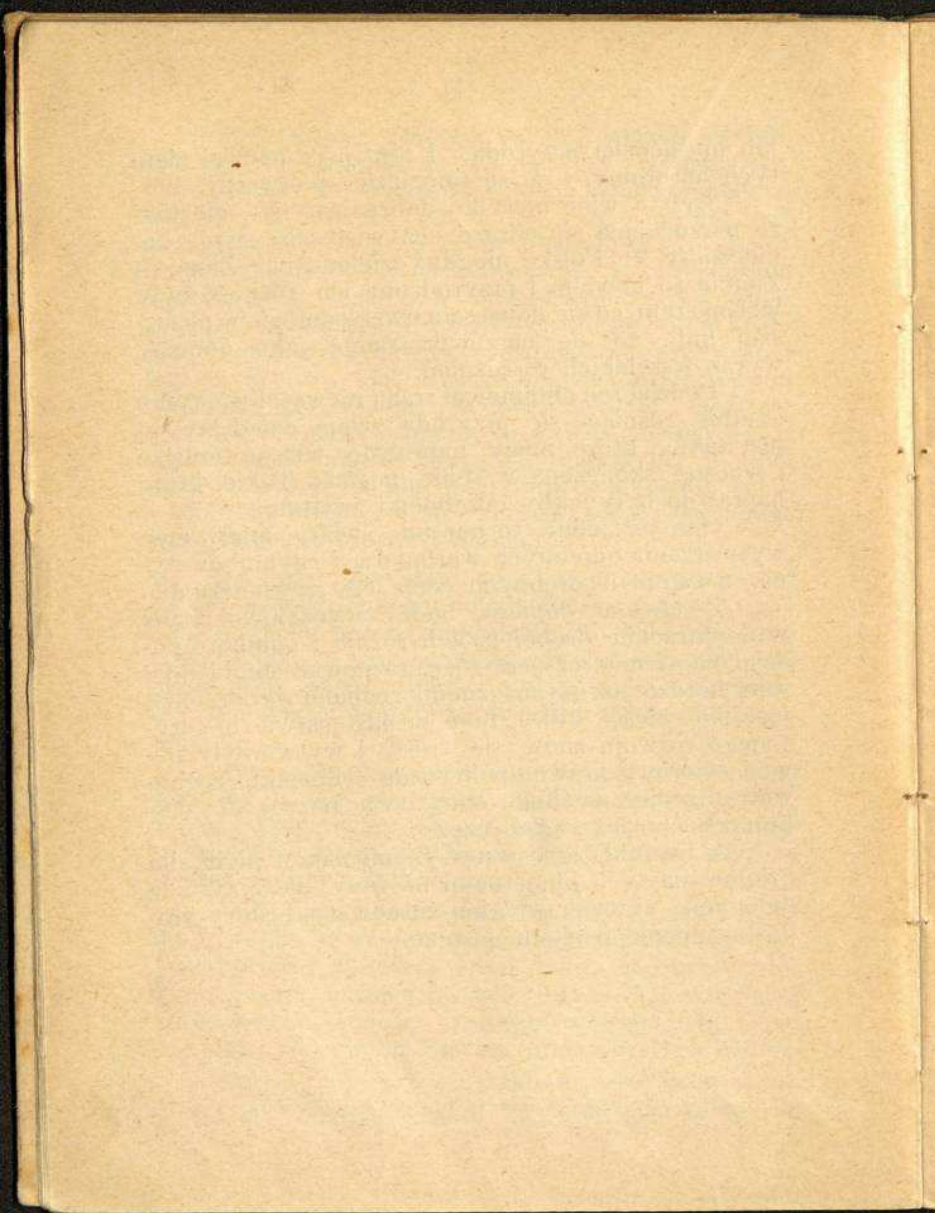
Był to więc nietylko dobry instynkt, ale także narzucająca się odrazu oczywistością swoją konieczność, że Polskę niegdyś dzielono na „Ziemie”. Ziemie to bowiem i przyrodzona ich różność były właśnie tem, co się domagało uwzględnienia w pierwszej linii, co się narzucało samo, jako doraźny wyraz wszelakich rozróżnień.

Podział ten obejmował zrazu niewątpliwie tylko istotnie różniące się przyrodą swoją dziedziny, to jest takie, które miały naprawdę własne oblicze i własną, skończoną w sobie postać. Takie, które naprawdę były jakby odrębnymi światami.

One też jedne, te odrębne światy, miały moc wytwarzania odrębnych warunków i czynników życia, a zatem i odrębnych cech jego zewnętrznych.

Z czasem dopiero, bądź zwyczajowo, bądź w dopatrzeniu drobniejszych różnic i odmian, podział na ziemie rozszerzył się, rozpowszechnił i objął sobą bardzo już nieznaczne cechy wyodrębniające się całości, które, lubo w następstwie historycznego rozwoju znów się zrosły i wytworzyły pewne zbiorowe prawno-polityczne jednostki, zachowały przecież na długo starą swą nazwę dla niektórych chociaż swych części.

A tak oblicze i postać Ziemi naszej nigdy dla dziejów naszych obojętnymi nie były, ale z tysiąca mocnych, żywych włókien zasnowały historyczny postaw, przed wiekami jeszcze.



III.

W tej wszakże przedziwnej różnitości ukształtowania Polski jest rys jeden naczelny, rys naznaczony najsilniej, rozwinięty najszerzej, wyłobiony najgłębiej w jej obliczu. Rysem tym jest wielka jej polność.

Ona to nadaje Ziemi naszej koloryt, charakter i ton tak wybitny, że nie mają mocy zatrzyć go, ni przeprzeć ani Tatry, dźwigające na zawrotną wyżynę poszarpane wirchy, ani morza, bijące zapienioną pletwą o dwubrzeże nasze, ani pojeziorne rozcieki Prus, Inflant, Kurlandyi, ani zatajone puszcze Litwy, ani bagniste zapadliska kotliny poleskiej, ani ukraińne stepowe rozłogi.

Wszystko to ma cechę drugorzędności, drugoplanowości jakby, choć ubogaca nam Ziemię majestatem i oryginalnością niezwyklego piękna.

Polność wszakże stanowi istotny rdzeń naszego narodowego życia, naszego duchowego rozwoju, jest syntezą wszystkich rysów oblicza Ziemi—matki.

Jakoż gniazdo nasze nie leżało na wysokiej skale, choć orła mamy narodowym znakiem.

Nizko było ono usłane i całkiem przyziemnie. Wypiastrowały nas równie szerokie, przestrzenne, wolne; wyhodowały role chlebne, dorobne, łęgi głębokie, zapaszyste, bujne.

Jak oko puścić od Wisły po Odrę, ścielą się szczerą polą zielenią i złotem. Spojrzysz za wiatrem, a tu ci się zda, kraj cały gdzieś idzie, gdzieś płynie. Jakowaś mocna fala życia wznosi się i opada nieustającym tchem pracy na tych spokojnych, uczyszonych ziemiach. Jestto jakgdyby rytmiczne bujanie naszej odwiecznej koleby. Syn - Lud dawno ci od niej już odrósł, dawno zmęźniał w sobie, i w różne światy poniósł myśl i siły.

A stara Macierz - Ziemia ciągle kołyskę niemowlęctwa jego buja łagodnym, słodkim, nawpół sennym ruchem.

Buja i śpiewa.

I oto idą, płyną Mazowieckie, Kujawskie, Wielkopolskie łany morzem traw i zbóż. Idą, płyną, w majowych runiach wiosny, w śniadej kurzawie wykłoszonych pól, w barwistej siedmiokrasie łągów, w mocnych woniach sianokosów, w siności dymów wioskowych, w nieprzemożonym smętku ugorów, w złotych ścierniskach jesieni, w oparach świeżych rozorów, w taśmach miedz i przesłach opłotków; w rozechwianiu wierzb nadwodnych, w strzelistości przydrożnych topoli.

Idą, płyną gaje, lasy, jakoby wyspy zwartszej, ciemniejszej zieleni, na morzu tem siadłe. Idą, płyną obłoki niebem to modrem, to szarem, a falistemu ruchowi temu wtóruje rytmiczna pieśń szmerów i poszumów polnych. zanoszenie się wichrowe borowych czeluści i mocna gęźba wód mnogich, którymi cała ta dziedzina mieni się, gra, świeci, modrzeje.

Wielkie jej rzeki dawno wykpiwały z górskich swych źródłowisk. Dawno przebiegły gęsto zarosłe stoki i podgórze. A teraz oto, dopadłszy polnych, szerokich roztoczy, zaczęły morza dech, zwolniły wartu i, spotężniałe obfitym przytokiem wód żywych, płyną w całej wadze i powadze swojej, nio-

sąc na sobi stulecie płodu sw.
ziemie.

Oto granice, pokrewna Wiśle
lonym Beskidzie, odziew prze się wyznają się, ta,
przebiega zatajone moczary, brnie przez borowe
bagna, chłonać chciwie pomniejszych cieki wodne,
czai się, skręca, prowadzi, omyla, aż się wybije na
widne skroś równie, ciężka od wagi przeznaczeń
dziejowych.

Zabiera Olszę cieszyńską i śląską Olawę; za-
biera Małopianę, na którą książęta opolskie przez
okienne błony komnat swych patrzyły; zabiera Ba-
rycz, co się przez Wschowską ziemię naszą toczy;
bieży pod Raciborz, pod Wrocław, pod Głogów,
stare nasze lenna; ściąga strugi, przez nieszczerne
lignickie pola płynące. Rzeźka, raźna, gospodarna,
dźwiga skutury, spławia tratwy, roznosi pokrzyki
flisaczego ludu, popędza wielkie galary, czarną sko-
rupą jak żółwie nakryte; pieni się pod siekącemi ją
kołami parowców, wieje gęstym żagle, jeży się
lasem masztów, pluska mnogiem czółnem rybaczem
i cała w dymach, w hukach, w świstach i rozplu-
skach wali przed się pełna ruchu, pełna życia, pracy

Aż gdy mgły wieczorne się wzbijają, gdy wsta-
ną nadbrzeżne tumany, tysiąc mar, tysiąc wspom-
nień przemija smętnym korowodem nad tą wielką
historyczną rzeką, której wart z krwią naszą zmie-
szał się od wieków.

A wtedy słychać w głębokich jej szumach
głuchą wrzawę minionych stuleci. Wtedy zaszczę-
ka tam oręż i zbroica zasypana żwirem błysnie w mie-
sięcznej poświacie; pustka obezwie się poomacku
wartowniczym hasłem; war bitwy buchnie dziko
i ugaśnie; aż wszystkie głosy i tętna miesza się
w przeciągłym jęku, w mdlejących westchnieniach.

A oto Warta rodowa, nad którą Polanie pierwszym się uwiązali rojem i zarabiali pierwszy plastr dziejowy Piastowego miodu.

Ciek jej kapryśny, nizkiem brzegiem sparty, pruje łęgi bogate i głębokie pasze, zapławia żyzne niziny wiosennym rozlewem; napawa ziemię dobre ludem dorodnym osiadłe; oblewa grody starodawne możne, pamiętne, aż uderzy całą mocą pod zachodowe zorze i uczyni wraz z Kujawską Notecią i Obrą wielkie międzyrzecze o troistym spławie, który się sam w sobie pomieścić nie mogąc, szerokie grzęzwy u Santoka i Drezdenka czyni.

A oto wyroczne Gopło, nad którym siedzi koronna Kruszwica; oto zwierciadło Ślesińskie, w którym się przeglądały Swiatowidy nasze. Wszystko to wody ważne, pamiętne, zadumane ogromną przeszłością narodu. Wody pełne w sobie jakiejś złotej baśni, która się tu opowiada w przeciągłych poszumach, z wieku na wiek, z rodu na ród; pełne jakowychś wielkich niedośpiewanych rapsodów, których ostatnie tony na harfie czasów nie rozbrzmiały jeszcze.

IV.

Ale na wschód od Gopla, od Warty, tam, gdzie niegdyś czerniały mazowieckie^a puszcze, pierś ziemi dźwiga się i opada głębokim, mocnym i żywiącym ruchem. Tam bije samo serce Polski. Miasta tu gęste, zasobne, przemysłne, jedne pracą licznych rojów ludzkich huczące, pełne fabrycznych dymów i łoskotów; inne pieczęcią dziejów krwawo znaczone i przygięte wiekiem; jeszcze inne nawpół sielskie prawie, rozciekające się po okrajach w dwory i dworki, w pólka, ogrody, w pastwiska.

Tu Zawichost osędziały w wielkiej swej dawności, tu Czersk warowny niegdyś i basztowy; tu Czerwińsk, pamiętający jeszcze dwunaste stulecie.

Tu siedzi stare Płocko nad wiślaną tonią; tu Wyszogród na stromem brzegowisku sterczy; tu Raszyn, Grochów, Wawer, tu bohaterska Wola, tu Praga z przebitą pierśią, tu Wisła, i tu—Warszawa.

Wisła i Warszawa, to prawie że nie miano grodu albo rzeki, ale zakłęcia, na śmierć i na życie, ale hasła, obwoływane z wieku na wiek po strażnicach narodowego ducha.

Wsie tu rozbudowane mocno, gromadnie, na dobrych glebach, na błoniach żyznych siedzą zasobne, dufne w siebie, rodowe, trzymające się ziemi wszystkimi korzeniami życia.

Lud, to się kwieci, modrzy i czerwieni w swoich krasnych wełnach, to bieleje siwemi lnami siermięg i płótnianek, to brunatą sukmaną podobnym się czyni świeżo odwalonej a rodzajnej skibie.

Tu czasu żniw słońcem palą się kosy; tu sierpy, jak miesiące, nisko przy ziemi chodzą; tu łęgi tętnią po rosie stadem spętanych żrebie i podjezdaków; tu znojne skrzypienie płużyc, soch, lemiesz, tu pot i trud twardego zwarcia się człowieka z ziemią.

Ale po wzgórzach brzozowe gaje w lekuchnych szmerach chwieją majową zieleni młodych pędów; nad strugami stoją srebrne od łez wierzy z niekończącą się nigdy skargą swej żaloby; na miedzach, na rozdrożach, na wygonach, rysujących się długimi linjami skroś łęgów i łąnów, siedzą graniczne kopce, okwitłe tarnią i głógiem, stoją zczerniałe krzyże wśród osik drżących, wśród jarzębin, topoli i klonów; rosochate grusze ścielą koliska szerokiego cienia.

A pola idą w dalekość jakąś siną, w jakieś ogromne przezrocza coraz to bledszych błękitów, w jakąś różaność zórz, niecących się i ugasających nad niemi, w jakąś perłowość tumanów, które się zwiewają rankiem i wieczorem aż tam, het, precz gdzie na ostatnim zrebie widnokręgu czernieją bory, szumiące mocną, niewypowiedzianą powieść dawnych, dawnych czasów.

Gdzieś poryk nagły przesiecze powietrze; gdzieś się zanieśie huk młota, łoskot siekiery, gdzieś uderzy nagła wrzawa zmieszanych, natężonych głosów.

Od łąk zasię, od strug, od progów chaty biją nawoływania rozciągle, echowe, rozlegają się zawodzenia fujarek pastuszych.

A przy chacie sad chróstem grodzony pali się od malw, od jaskrów, od słonecznikowych pozłocistych tarczy; a pod okienkiem pachnie grzęda ruty, szalwii, mięty i bożego drzewka.

Za sadem, na bielniku, siwe płótna srebrnieją do słońca, a zóraw studzienny tu, to tam zaskrzy-pi z wysoka, a dym jałowcowy miesza się z zapachem świeżo pieczonego na klonowem liściu chleba.

Nad chatą, nad wioską pełne bladej modrości i biciaaskowronczych piórek niebo, przeczystą kryształową kopułą obejmuje świat, wymyte, zda się, w prześwieżych rosach i rozkwitłe słońcem. Zaś płomienieje od letniego skwaru, toczą się po niem chmury burzliwe, nawalne, przecinane czarną błyskawicą jaskółczych niespokojnych lotów, umiatane wichrami, grzechocące gradem, pełne trzaskawicy piorunów, zażegnanych u czterech węglów chaty Ewangeliczką i poświęcanym obrazem.

Zaczem rozświećla się bladem złotem jesiennego ranka, sieje na ziemię niewypowiedzianym urokiem przesłodkiej pogody i ciszy, skroś której, utopione na poły w błękitcie i w różanych zorzach, przemijają po śródniebnych szlakach długie ciągi leżącego na wyraj ptactwa, które gdy przeminą, ugasza w sobie, mąci się i gęstnieje, przyodziewa szarą płachtę deszczowych zaciągów, zacina mokrym wichrem, sypie śnieżne puchy, aż skostnieje razem z ziemią w lodowych mgłach i mroźnych oparach.

Rankiem i wieczorem, w polu i w chacie, przy pracy i przy zabawie, w smutku i w radości, wybucha wieś pieśnią.

Jak wody potoku z głębokiego źródłu, tak bije pieśń samorodna z piersi ludu, z zatajonych źródeł ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie, z niewystówną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, hulaszczem weselem; wspomina jakieś prastare, zapomniane dziejów godziny, jakieś krzywdy, jakieś boje, jakieś zwycięstwa i klęski; oczynia uroczyste momenty życia pradawną obrzędową nutą, nosi się po jarach, po turniach, nad łany, nad ugory się rozwiewa; usypia dział-

wę, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje mocy i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, po zagajach dziewczęcimi głosy, aż się rozełka, zawodząca za tym wozem, co go woły siwe ciągną—za wozem, na którym chwieje się ostatnia domowina kmieca, zbita z desek trumna, i cała w nutach gorzkich żalości, pokory, idzie płakać z sierotami pod cmentarne wrota, czepiająca się krzyżów skrzypiących, ubogich krzywych sosen, rozpełzłych po mogiłkach zapadłych, po darniowych wzgórkach.

A w bok od wrót cmentarnych, przy których jałowce i brzozy w szczerym piasku stoją, szemrząc z wiatrem pacierze za pomarłe kmiecie, — pod wiankiem lip, klonów, topoli, pełen trzepotu gołębi i wróblích świegotów, trwa z wieku na wiek ubogi kościół wiejski mający w swej prostocie, w swojej przycienionej powadze, coś ze starych gontyn, gdy w nim zapachną woski i świecone zioła.

Miedziami łańców zbożnych, przydrózkami pokrytych pyłem gościńców, ciągnie tu w świąteczne rano lud strojny a rojny, zasłyszawszy dzwon z kościelnej wieży.

A wtedy, skroś ptasich przelotów i gwarów, skroś szumu lip i brzęku pszczelnych rojów, biją w niebo z pod poczerńiałych tramów starego kościoła strzeliste wzdychania, łomot zaciśniętych pięści w przejęte skrucłą piersi i falą przelewający się nad tłumem żarliwy modlitewny poszept. Ktoś krzyżem legnie z głuchym stukotem ciała o podłogi, ktoś, gorącością błagania uniesiony, jękiem się na cały kościół zanieśnie, ktoś, w pokajaniu cichem, zastygnie bezmowny, zapatrzonej w jarzącą jasność ołtarza.

Aż buchną wichrem głosy i w strop kościelny uderzą:

...Święty! Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny!...

A wtedy wszystko, co się mówczą pracą krzątało po nizinach ziemi, dostaje skrzydeł i lotu, a całe podniebie pełne jest duchów prostych, bijących kornie czołem o podsienie boże.

A tam, skroś wysady podających się za wiatrem topoli, bieleje dwór starowieczny, ogarnion kwietnikami i sadem, dwór z modrzewia stawiany, którego belki głośne są od gniazd jaskółczych, od poszumów lipy.

Na niejednej tam ścianie kwieci się dyftek zdobyczny, na niejednej złotnieje ryngraf po dziadach, pradziadach, a z nad łoża świeci dnem jasnym, ciemnieje żałosnem obliczem Hetmanka Korony i Litwy. Cisza. Stary zegar gdański cyka jakieś minione godziny mocnej, rycerskiej i dziecięcej wiary.

Gdzieś pod bielonym tramem a powałem z przed wieka, echem tajemnem przywarty słyhać poszept sodalisów z pod Baru, poszept gdzieś na wałach zmawianej litanii... Ora pro nobis!... Tu okna wielkie, szerokie, zielnikom kwietnym podobne; tu ganki one, dzikim winogradem strojne; tu zadumane, srogie twarze dziadów, tu ściągnięte troską czoła ojców, tu młodość płomienna rwie się do życia, do czynu, tu małoletnie chłopięta biorą chryzmat ideałów rodu i narodu.

Czasem gdzieś na wzgórzu, w ostępie tarnin i dzikiego głogu, zamajaczą ruiny rycerskiego gniazda i powieją tumanem starej, złotej sławy. Czasem mogiła polna przemówi głośno, surowo, donośnie wielką swoją ciszą. Czasem głuchy bór zahuczy jakąś nagłą wrzawą, jak trąby bojowe; czasem dreszcz przeleci polem, jak poszept hasła luzujących się pokoleń na strażnicy ducha.

Ale nad wszystkie poszepty i głosy wynosi się, panuje królewski szum Wisły.

Gdy ona zrzuci lody i zagada, cały kraj słucha gromkiego jej huk. Gdy ona potężnym niekieszanym pędem się zaniesie, cały kraj drży pod jej srebrną chłostą. Gdy ona pogodzie się podą, cały kraj tchnie błogosławieństwem ciszy i płodności. Gdy ona idzie a przewodzi w swych wyrocznych drogach, cały kraj czuje, że u jej kresu, tam, jest nasze morze!...

W szumach jej słyszać odwieczne rozhowy starego Beskidu, i srebrne drżenie potoków, niosących do niej czyste swoje wody.

Nad nią siadł Kraków królewski, nad nią koronny Wawel strażę wysoką trzyma. Nad nią szerokie, śpiżowe dźwięki Zygmuntoowego dzwonu, i szept harfiany czarnońskiej lipy, odmawiającej psalterz wieków i pokoleń.

Do niej pędzi Dunajec w rozechwianych pianach swych zawrotnych lotów; do niej San spieszy z pod Czerwiennych grodów; z nią się łączą i jednoczą święte wody Bugu nierozzerwalną i wieczystą unją.

Za nią idą gonne sosny naszych borów i królewskie dęby, pomostami w tratwy wiązane idą pszenice złote i sine lny pól naszych rodzajnych. Nad nią pieśń flisacza leci szeroko, daleko, niosąc ojczyste dźwięki pod wtór morskich szumów. Ona modrem przesłem wiąże stare Ślązko z nami; opływa dwa koronne zamki naszych stolic; idzie przez pachnące chlebem Kujawy; bieży pod Toruń, kędy poczerńiałe wieże pełne są jeszcze widzenia rzeczy wiecznych; uderza srebrną tarczą o Chełmno, o Grudziądz, o Kwidzyń, budząc je zdziejowego uspienia, aż dobieżawszy naszych pomorskich dzierżaw, roztwiera oboje ramion, i—zanim rzuci się w odmęty Bałtyku, potężnym, szerokim od Gdańska po Królewiec uściskiem obejmuje te ziemie, na których nam ciekim swoim wyznaczyła wielką, historyczną drogę.

Ale tam, gdzie Wisła dwojgiem ramion obejmuje ziemie, i ziemia chyli się w jej uścisk i przykłania ku niej. Roztopiły się wzgórza, wyrównały brzegi, wstecz poszły lasy i bory, rozległy się ławice, wiślicka, ostrowy, a kraj uczynił się niski, przepadzisty, płynny. Jak okiem sięgnąć ścielą się prześwieże maje traw, z których błyskają grzbiety i porykują głosy bujnych cielic, brodzących w nieprzepasionych a głębokich łągach.

Prerje to nasze, nasze Malborskie Żuławy, którym równe, jeden Niemen tylko pomiędzy Tylżą a Ragustą czyni.

Tymczasem na lewo i na prawo wód przybywa coraz.

Ziemia popruta krótkimi ciekami rzek przy-morskich, niezdolna pojąć w siebie wszystkiej ich mnogości, jest jako sieć, przez której oka przelewa się żywe srebro bijących zewsząd ruczajów.

Gęsto wprawione w szmaragdową zieleń traw i łotoci, stoją jasne szyby wodne, w których przegląda się kraj dziwny—pomglisty, głośny szmerem strumieni, pluskiem wiosel, ostrym krzykiem i trzepotem rybitw, trzymających tutaj wielkie swoje sejmy.

Inszy tu świat, insza piękność, inszy obyczaj żywota.

Tu naród szczudłuje jak czapla po wertepach wodnych; tu się funduje w groble, w tamy, w kanały, w stawidła; a podrywek, więcierzy więcej bodaj w chacie, niż kos, albo sierpów.

Ale im dalej ku północy, tem bardziej ugasa zieleń traw i zbóż, ustępując ławicom mokrego łu, słonym morszczynom, szarości odpłuczysk i piachów. Aż przymknie się ostatni okraj tej dziedziny, i rozewrze trzy cudnie rzeźbione czasze wielkich swych zatorzysk i uczyni się nad nim szum morza, i otworzy się przed nim gościniec w świat cały, a moc-

ny dech szerokich wolnych przestrzeni owionie go rzeźkością i siłą.

Stań tam, pod grzmiącym hukiem fal, które, runąwszy w przepaść, dźwigają się z niej niestrudzonym rytmem, stań na ostatecznych cyplach Pucka, Połagi, Windawy, a spojrzij w nieobjęte okiem roztocze Bałtyku...

Tu ci jest kres nasz, tu granica nasza, palcem przyrody wskazana. Tu wielkie wschody i zachody słońca topią swój szkarłat i złoto w ojczystych rze-
kach naszych: Wiśle, Niemnie, Dźwinie. Tu dobie-
gają blaski starej naszej chwały. Tu wiatr donosi
pieśń naszego ludu. Tu zatkwiona jest kotwica na-
szych wspomnień i naszej nadziei.

V.

Lecz tam, gdzie bujne wody mnogich rzek do Bałtyku idą, rozsypał się, potoczył po granitowem podłożu ziem tych, cały sznur modrych i srebrzystych pereł, cały system małych i dużych jezior, od Odry po Niemen, od Niemna po Dźwinę, tworząc wielkie pojeziorza nasze. Dźwiga się tu przychyłona ku morzu ziemia, zsiada, tężeje w położystą a silną wyżynę, odziewa się runem wrzosowisk, cieniem buków, cisów, modrzewi, i na ogromnej przestrzeni zasnuwa swą szatę przepysznym haftem wodnych arabesek.

Tysiąc strumieni gra tu, świeci, brzęczy, niewiedzieć z kąd się bierze, niewiedzieć gdzie ginie. Rzeki się snują, przędą, brną przez jeziora z zatajonych źródlisk, wypływają z nich, chowają się w nie, giną. Całe to pojeziorze pomorskie, pruskie, żmujdzkie, kurlandzkie, inflanckie, litewskie, to jedna wielka Rzeczpospolita wszelakiej nacyi wodnej. Tłum szary, często bezimienny, mnogością swą wyciskający silne piętno na całej dziedzinie.

Nad tłumem tym panują wielkie Śniardwy Litewskie, panują Narocz, Wigry, Sajno, Duś, Rozpuda, tworząc potężne oka tej olbrzymiej sieci.

Niektóre z jezior, zarosłe w ostrowy, jak Trockie, stanowią świat osobliwy, lądowo-wodny, na który

ten puszcza się z kosą, ów z podrywką, z wicie-
rzem, z siecią. Inne stoją po starych torfowiskach,
otrzęsione bagiennym powrzosem, tajemnicze, senne.

Jeszcze inne, — a typ ten najczęściej się po-
wtarza, jakaś jedna, druga rzeka nawłóczy jak pa-
ciorki na srebrną nić swoją.

Tam czołno rybacze wychyla się z krętego
brzegowiska na jasne obrusy wodne, olśnie od ich
światlistych przezroczy i znów przepada w mrocz-
nych, szuwarem zarosłych przesmykach.

A nad całą tą krainą unosi się poszmer wód,
jako ton naczelny, przebijany różnorzeczem ptasich
gromad, przy wiosennych złotych.

Tam dumają czaple na widetach swoich, tam
dziki łabędź gniazdo sobie ściele, a pod bładem
słońcem jesiennem wiążą się łańcuchy żórawi, z ję-
kiem lecące na wyraj przez śródniebne drogi.

Ale kiedy pełnia miesięczna rozkwitnie nad
ziemią, kiedy lunie drzącą poświatą na jeziorne
wody, z głębin ich biją dzwony zatopionych gro-
dów, a topielice wynikają z toni w rozlotnych opa-
rach. Wtedy to po trockiem rozwalisku starej chwa-
ły przesuwa się olbrzymi zbrojny cień Kiejstuta,
wtedy zadumana Świtez w srebrną harfę trąca i śpie-
wa nieśmiertelną pieśń Wajdeloty swego.

A Litwa słucha...

Ten kraj zatajony w sobie, leśny a jeziorny,
w niewymownej smętności swych piasków, swych
borów, zdaje się istotnie nasłuchiwać czegoś. Ja-
kichś ech przeszłości, które podają dębom dęby,
bukom buki. Jakiegoś „złotego rogu”, mającego
rozbrzmieć pobudką na świtanie jutra.

I stoją w tem zasłuchaniu okryte runią łąny,
i pagóry, bielejące skroś rzadkich, twardych traw
piaszczystem żebrzem, i wielkie wrzosowiska, porośłe
karłowatą sosną, jałowcem; i błonia przetkane kwie-
ciem.

Słuchają zaścianki, owe to po staremu czujne „Okolice”, twardo przy honorze rodów swych stojące, gdzie zagon dotąd w kształt krzywej szabli orany bywa. Gdzie twarz sroga, a serce miękie, rzewne; gdzie ręka zapalczywa, a w oku łyzy prędkie, gorące.

Słuchają nadewszystko odwieczne, niezbrodzone w głębinach swych bory.

Gdy bór litewski obejdzie w tajniach swoich niewymowną ciszę, gdy rude pnie jego sosen, zataiwszy dech w samym rdzeniu i osierdzu życia stoją wyprostowane, zwarte w groźne, milczące szeregi; gdy ostre kosy świerków sterczą w niebo nieruchomie, uparcie, w wyteżeniu wszystkich sił żywotnych; kiedy proporce zwisają z drzewców jodeł tajemniczo, skrycie; kiedy pióropusze zieleni hardo się zakędzierzą u hełmów koron i wierchów: wtedy nieschodzone borowe głębie Litwy zdają się jedną niezdobytą twierdzą, której załoga czuwa, i słucha, i czeka.

Może coś idzie, coś bliży się zdaleka, zdaleka...

Może hasło... Może cichy obzew... Może zawołanie dni przyszłych...

Może kroki wroga...

I oto budzą się odwieczne instynkty tych borowych dziedzin. Wszystko prze do zaczajenia się, do zatajenia w sobie. Zawały odwiecznych pniów i kłodzisk drzewnych, moczary trzęsawisk, ostępy i knieje.

Pień ziemi głęboko ukrywa potężne bicie swych żył, swoich pulsów. Mgła nadwodna, jak opuszczona powieka, tłumi blask wielkich jezior, srebrnych źrenic Litwy. Niezgłębione grzęzwy, oparzeliska, maceczniki, knieje, zasnuwa mroczny тумan, ziew puszczy sennych, skrytych. Łężne i polne przestrzenie zawściągają dech żywy, i leżą martwo, jakby letargicznie.

Wszystko się utaja, wszystko nasłuchuje nieufnie. Wszystko się zbroi w skryte swoje moce; wszystko się sposobi do jakiejś walki olbrzymów; do jakiegoś namiętnego oporu, do oporu na śmierć i na amen.

Idą lata, idą wieki, a życie narasta na życie; jego siły wzmagają się i mnożą.

Pokolenia ludzkie mieszają prochy swe z piaskiem i krzemieniem; pokolenia sosen i dębów kładą się zawałami puszczańskich zasieków.

Niezmierne rozlewiska wodne tu owdzie tylko błyskają w borowych mrokach szybą jasną, widną, drażąc sobie tajemne drogi, podziemne przechody przeguby.

Szerokie płachty wrzosowisk nakrywają piaski pełne okrzosków z prawieka. Dymy chat kurnych, lłuką się pod powalem, nie dając wejrzeć oku do wnętrza, przejętego smolną i żywiczną wonią. Jakaś milcząca, skryta, skupiona, jakaś zacięta praca natury ziemi tych idzie spodem życia. Nic się tu nie rzuca w oczy, nie błyszczy, nie świeci.

Spojrzysz na ziemię, aliści czujesz ją mocną, oporną i nie ugłaskaną. Spojrzysz na ludzi,—aliści ujrzysz twardość, nieufność pierwszego wejrzenia!

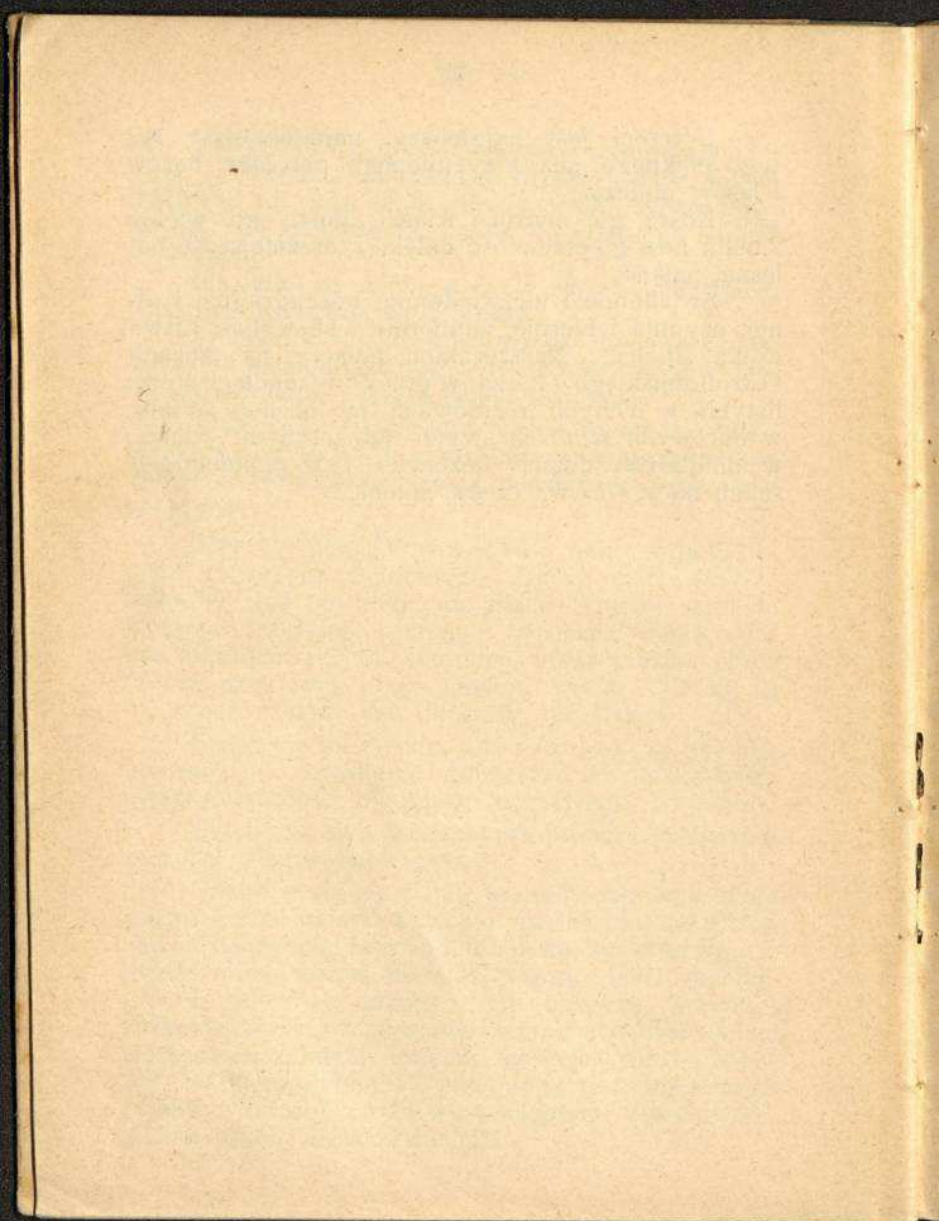
Życie ma tu tak samo jak puszcza swoje mateczniki, niedostępne zgoła.

Gdzieś ptak zerwie się lotem i rozśpiewa ciszę; gdzieś kalina zajarzy korałem; gdzieś głos nie wieści zawiedzie przeciągłą prostą nutą prapogańskiej Dajny; gdzieś młode serce buchnie warem krwi niecierpliwej, gniewnej; gdzieś grom zahuczy, trzaśnie, rozkryje błyskawicą borowe ciemnice; gdzieś wicher się porwie, zahuczy, zajęczy, zawyje. Ale te porywy, te łuny, wybuchy, przemijają bez trwalszego piętna; a na obliczu Litwy pociągłem, czarniawem, znowu osiada cisza zaszuchania.

I ten-ci jest najgłębszy, najogólniejszy rys tego pięknego, acz przyćmionego pomroku borów i lasów oblicza.

Noszą go miasta i wioski, noszą go wielcy i mali, nosi go przeszłość daleka i teraźniejszość bolesna, paląca.

Świadomie i nieświadomie, beznadziejnie i ufnie, czynnie i biernie, namiętnie i bezwolnie, Litwa czeka, słucha... Na szerokich polach i na głązach Ostrobramskiego ołtarza, w pracy i w modłach strze-listych, w cichych rozmowach na ulicach Wilna, w borowych szumach swych odwiecznych własci, w omdlałych dniach bezczynu i w płomiennych snach nocy,—Litwa czeka, słucha...



VI.

Tymczasem mroki gęstną, kraj mierzehnie, ciemnieje. Żywa modrość i świetlistość jezior przygasa od den iłowatych, grzęzkich.

Już się tu rzeki nie kwieć w swych brzegach, jak piękna Niewiaża, która jest uśmiechem świętej, chlebnej Żmujdzi. — Już nie znaczą, — jak Wilja, jak Niemen, złotym i błękitnym ściegiem bystrych swoich chodów. Wody leśne, niemal czarne, zbierają się w żyły po borowych grzęzwach, i cieką pomacku, ślepo.

Już wielkie wrzosowiska suchych, piaszczystych pagórów ustępują rudym, bagiennym powrzosom. Już na podmiękłych łąkach sterczą kępy łozin, wżerają się coraz głębiej w zapaszyste błonia, wypierając macierzanki i turzyce wonne.

Ogromne bory starej Litwy, na górnym trzonie zaniemeńskim siadłe, schodzą ze swego podniesienia w kraj niski, zapadły; który, iż ich potęgi żadną miarą zdzierżyć nie jest mocny, muszą się w pochodzie swoim dzielić i rozdrabniać.

Jeszcze po Berezynę falują litewskie wzgórza. Jeszcze się tu ziemia dźwiga, jak może, podając czoło słońcu. Zaczem zwarty rdzeń jej wolnieje, rozrabia się, topnieje, a moczary bagniste biorą nad nim przewagę.

Tu już,—jak oko puścić,—świat staje się najosobliwszą płataniną rzek i rzeczek, z których każda zadzierzguje gęste oka sieci wód mnogich, jaka nakrywa tę najgłębszą zapadłość ziem naszych, ową to kotlinę poleską, wiecznie tchem oparów dymiącą.

Wszystko tu inne, osobliwsze, własne.

Zwierz, ptak, przyodziewa ziemi, kolor obłoków, chody chmur, pędy wichrów samopas lecących, a także człowiek i obyczaj jego.

Świat tu zamknięty w sobie własną swą naturą, niełatwo dopuszczający do tajników swoich. Świat oparzelisk, mateczników, odeszłych kęp, zapustów leśnych, oblanych rzecznymi łachami ostrowów, a nadewszystko świat bagnistych zapaści, wśród których siedzą silnie zwarte łozy, wilczych łęgów pełne. Łozy te, te warownie wilcze, do których dostępu ludzkiej nodze czasu lata niema, pokazują ciekawe widowisko na twardej jesieni.

Już ługi podmarzłe nie puszczają pary, już ostre, pożółkłe sity i szuwary sterczą jak sierść na nich, kiedy tu, to tam, na szerokich, dalekich przestrzeniach zaczynają świecić gęste, żywe ognie.

To Poleszuc wypala w łożach wilcze gniazda i barłogi.

Zrazu pełzną ognie, żółkłemi trawami sycone, nisko, tuż przy ziemi, sycząc jak zły gad i kłębiąc się w sobie.

Aż gdy dopadną tęższej, zwartszej żertwy, a buchną po łożach, kiedy się zakędzierzą i zakręcają w miotły, lecąc powietrzem jak ogniste race, wtedy całe okolice wyglądają jakby morze ognia.

A tuż wicher lodowy zadmie, zaśwista, zahuczy, podbije, rozżarzy owe mietlice czerwone, pomiećcie, popędzi one iskrzaste dymy i razem z uciekającym zwierzem wyje, tarza się, szaleje.

Niejedno tam półkurecze trzaśnie wtedy zcicha a psi po opłotkach zanoszą się dzikim skowytom

zaczuwszy ciekające między ogniami gniazd swoich —wilczury.

Wtedy to trzeba widzieć te oczerety i te żyły wodne, jak grają wymalowane łunami pożarów! Wtedy te młaki posępne, te bagna, zapady, obrzeżone czerwienią płonących twierdz wilczych.

A od ognia do ognia dmie tęskliwa surma, której głos odbity setnem echem po „hwozdkach”, „rozświelach”, dodaje przeraźliwości tym dzikim widokom.

Surma, to głos Polesia i głos Poleszuka.

Jej rozciągly, jednostajny, na trzech czy czterech tonach oparty obzew, powtarza się niezmiennie,—kto wie, od wieków może,— tą samą beznadziejnie bierną, a niezbytą nutą, na wydanie tak smutku, jak radości życia.

I wsiąka owo wołanie surmy jednostajne, rozciągle, w opary bagien, w zatajone zacisza borowe, w bezludzia i odludzia odległych pastwisk i „zachodów”, brzmiąc szeroko, daleko, o wieczornej i o rannej zorzy, wypowiadając w krótkiej gamie tęku czy westchnienia, całą duszę tego ludu, którego jest jakby przyrodzonym wyrazem.

Dużo się tu zmieniło od tych dawnych czasów, kiedy taką, wykreconą z młodej osiki trombitą zwoływały się, czasu niebezpieczeństwa, rody Poleszuków, po ostępach i borach osiadłe.

Przetrzebione są bory, osuszone bagna, puszczony kanałami kapryśne wód cieki; grody narodziły się, wzrosły i zmarniały; niedźwiedź ustąpił przed hukiem toporów z natrzęsionych po chaszczach barłogów; z mnogich niegdyś drapieżców borowych jeden ryś tylko zasiada na zbójceckich czatach: a w tym obzewie Poleszuka nie zmieniło się nic,—kto wie,— może od czasów Wojsielka, o którym wieść prawi, iż uchrony przed postrzyżynami w Czernie szukając, tu się był zaszył w bagniste,

niezbrodzone puszcze. Aleć i w doli-niedoli Poleszuka niewiele się zmienić musiało.

Jaka dola, taka pieśń, która jest jej głosem. Od kolebki, bujającej u powały kurnej chaty, pod ciężką chmurą gryzących dymów siwych,—do mogiły, nad którą sterczy krzyż ogromny z conajwyższej jodły ciosany, wśród innych krzyżów cmentarza, co są jako wielki bór bezlistny, na jesiennym wicherze skrzypiący,—z ojca na syna idzie tutaj dola, twardą ciężką schedą.

Te woły po młakach grzęznące, te sące ziemie, gdzie Poleszuk na mokrym jeszcze zagonie przygarść słomy po siewie u skraja pokłada, żeby Pań Jezus, gdy zejdzie rolę przeżegnać, stóp świętych nie zamoczył sobie; ta febra zaczyzona w bagiennych oparach, która szpik w kościach trawi i wypala; te niedostępne, potracone między łachami rzek „zachody”, na które pastuch, gdy z dobytkiem zajdzie, dziecziej, miesiącami trwając bez ludzkiej i twarzy i warzy; te gryzące dymy smolarni, które wygryzają oczy, — wszystko to przekazuje się z wieku na wiek, z pokolenia na pokolenie, cierpliwie, biernie, milcząco. Bo jeśli dola twarda, to i dusza twarda i nieprzełamana. A co w niej skargi i co w niej żalości, to tylko surma wypowiada w roznośnym, przeciągłym jęku.

Głodny Poleszuk rybą dojada, czego chleb uskąpi, a po resztę idzie do boru.

Tam-to jesienią rozwloką się dymy budników, pędzących smołę i dziegieć. Tam ostre wonie żywiczne, poczerwiałe twarze, skołtunione głowy, tam oczy do połowy dymami wyżarte. Tam snopy iskier, wiatrem jesiennym pędzone; tam ognie i cza-ta ponocna dla odstraszania szkodliwego zwierza; tam skąpe słowo, twarda praca, tam myśl stłoczona, stłumiona.

Ztamtąd to niesie Pina, Prypeć, Mozyr całe dubasy, całe suhaleje, klepki i gontowe światy; ztamtąd Pińczuk, jak borsuk norowy, rzadko się wychyla do miasta, chytry jak wijun, i tak zaparty, zadrzewiały w swoim obyczaju, że wieki mijają a on zawsze ten sam, ku żadnej zmianie nie skłonny żadnej nowości nie spragniony, na umór przy swoim stojący, pokorny, tępy, na obcym sobie gruncie, zręczny i śmiały w swojej kurnej chacie, na swoich rozlewiskach i w swych smolnych borach.

Poleszuk w ciemnej swej odzieży nie różni się prawie od kory tych sosen, z którymi razem twardo w ziemię wrasta. Jest on jakgdyby dalszym ciągiem tej przyrody, i zlewa się w jedno z krajobrazem ziem swoich, którego szarą i posępną nutę sam nosi w obliczu. Bo te ziemie poleśne a wodne, mgłą przez większą część roku nakryte, nie mają w sobie wesołej barwności pól ornych, przestrzelnych, otwartych.

Od „Hwozdka” do „Hwozdka”, od „Rozświetli” do „Rozświetli”, chodzi podmiękłym ługiem tuman smętku i opar zadumy. Przebije go czasem dzwon starej poczerniałym gontem pokrytej cerkiewki; czasem głuchy stukot toporu, walącego pnie smolne na wyrębie; najczęściej wszakże jęczy w tej mgłę tu, to tam, niewidzialna, żałośliwa surma.

Nie zna Polesia ten, kto go nie widział czasu wiosennych rozlewów wód jego.

Kiedy z głębokich zapaści swoich wystąpi wezbrana Prypeć; kiedy Pina, Słucz, Styr, Horyń szeroko wykipią z swych łóżysk; kiedy owe Stochody, Płucze, Ławie, Uborcie, Żerewie, przeleją się nagle przez wręb; kiedy ta cała płatanina wód bieży, goni się, prześciga, szumi, huczy, dopada, łączy i rozłącza; kiedy wystąpią nawet z krużów swoich jeziora tej kotliny: Kniaź, Pohost, Bobrownickie, Sporskie i inne,—wtedy nie wiesz, gdzie rzeka, gdzie bagno, gdzie susza, a cały kraj widzi się jednym

wielkiem morzem, na którem sadyby ludzkie wyglądają niby drobne wyspy.

Wtedy i Poleszuka poznasz w przyrodzonym mu żywiole, gdy, ocieężały, niezdarny na suszy, nagłe wiatru nozdrzami chwyciwszy, z byle pniaka czółno sobie zrządzi, i zwinnie, szybko, obrotnie kieruje niem po niezmiernych bezdrożach wodnych, od smolarni do smolarni, od boru do boru, ocknięty jakby na duszy i ciele, i cały ochoczo podany na wolę rozbudzonego instynktu tych prastarych nawodnych plemion, z których idzie rodem.

Te ziemie, pod przemocą wód stojące, te rozlewiska potężne, nadające tej kotlinie właściwy jej charakter niedosuszonej zapaści starego morza, ten człowiek, wyrastający sam nad siebie, gdy poczuje pod stopą dno czółna, a drąg w garści, — to jest dopiero Polesie, i to jest Poleszuk.

VII.

Zaledwieś jednak minął te zapadłe światy, przebrawszy się ku wschodowi, gdzieś u Czarnobyli czy u Brahiłowa, kiedy ci w oczy zaświeci, zajarzy Dniepr sławny, którego fale, zda się, nie wodą, ale pieśnią płyną.

Tam, het, na północ, rozciągnie ci się Ruś Biała w zielonej krasie swych głębokich borów, w których pomruk niedźwiedzia łączy się z górnym, po wierzchołkach odwiecznych stolbów idącym poszumem. Tam ci ona rozbłyśnie w modrej światłości pięknych swoich jezior, które, aż Inflant sięgając, są jako niedonizane, pogubione perły wielkich pojezierzy, jak perły, co się potoczyły gdzieś pod Toropiec, pod Uświat, pod Mieżę. Tam ci zaśnią, zamigocą bogatym ciekiem liczne, ważne rzeki, tam ci się ziemie zaprą od wschodnich granic wynioślejszym progiem, tam w siniejących wstęgami lasach brzoza przepierać pocznie dęby, buki, potęgą rostu i siłą korzenia.

Jakieś tęgie tchy dziejowych zdarzeń i cierpkich pamiątek mroźno przewieją ci skroś tej dzieziny, na której siedzi Smoleńsk, Orsza, Andruszów, Hadziacz. Jakieś kosze tatarskie przyśnią ci się nocą, jakieś kozuchy na wywrot zaczujesz po okrajach borów, jakiś ci srogi nów wysrebrzy się w my-

ślach, jakiś krzyk trwogi, gwałtu, klęski przeleci przez duszę. I uderzą na ciebie ognie za niesławne Andruszowskie i Hadziackie pakt, za pakt i klęski rumieniące wstydem oblicze wszytkiej Rzeczypospolitej. Acz mogła ona zaprawdę nawet w onych ciężkich terminach z upadku wzniesć głowę, iż nie dała duchowi Hordy przemódz w sobie własnego ducha swojego, jako się przygodziło Moskwie, w której mongolszczyzna przeparała słowiaństwo na długie czasy, i wycisnęła na niej tak głębokie piętna, że się aż dotąd wydzwignąć nie może z przemocy onego ducha Hordy, ale krwią wypocić go z siebie musi, iżby się wróciła do czystych krynic słowiaństwa swojego. Lecz gdy ku posadom Siewierskiego Nowogrodu pojrzysz, a posłyszysz, jak „z wieżyc Putywla płacze Jarosławna”, poczujesz, że tu dziejowym szlakiem chodzą jeszcze stare klątwy i niespokojne, i burzliwe duchy, które się nie wygrzmiały i nie wybłyskały ostateczną burzą z ogniów gwałtownych, z starodawnych, żywiołowych bojów, gotowych buchnąć z popieliska dziejów, w którem leżą przytłumioną, żarzącą się potajemnie iskrą.

VIII.

Ale skoro się od tych dzierżaw ku południowi odwrócisz, zasinią ci się, zatumanią na wschód i na zachód Dnieprowy Ukrainne ziemie, a świat zatoczy ci się stepem po najdalsze, niedojrzane krańce.

I wydzwignie się step na twarde podłoże z grząskich zapaści, a ziemie, podane ku południo-wschodowi, pocznie umiatać potężnie wiatr suszący i szerokoskrzydły, buszując w ogromnych trawach samorodnej postaci, w trawach przebujnych, na nietykanej sochą ani pługiem surowicy samopas rosnących.

I roztoczą się, rozprzestrzenia potężne, nieobjęte okiem dale, i ogarnie cię świat nowy zgoła, i nowy wiatер duszę ci obwieje.

Tu poszumy niekiełznane chodzą stepem, niby wielkiem morzem; tu trawa idzie za wichrem jak fala, a poświst gra w bodziakach pieśń dziką, a orzeł kracze nad głową, a czerwona pełnia miesięczna wstaje gdzieś nad kurhanami i nagle step krwawo rozświetla. Wstają wtedy z pod kurhanów upiory starej chwały, a przesławne Atamany dmą w złoty róg na mołojce po mogiłach uśpione.

Lecz rankiem i cichą pogodą zawabia cię, czarują te niezmierne, siniejące dale urokiem swobody i tęsknoty razem. Coś prze, coś woła, coś du-

sze, z piersi wyrywa. Szedłbyś przez te burzany, któremi lekuchny dech wiatru przewiewa, aż tam, gdzie tuman mglisty, liljowy, łączy się z nieba okrajem. Szedłbyś od krzyża do krzyża, od mogiły do mogiły, nasłuchując ciszy, która się tu uczyniła po śmiertelnej wrzawie bohaterskich wypraw na Carogród, na Synopę.

Jeszcze tu czasem lirnik na kurhanie siedzie, zakręci rączkę u liry i zawiedzie dumę starosławną, jeszcze czajka kozacza zapluśnie, zakrąży po Dnie, prze; jeszcze koń hetmańskiego zawodu zarzy, zatętni od staniszcz; jeszcze Kijów rozbłyśnie złotą bramą swoją. Ale to już nie to, już nie to...

Smutek rzeczy skończonych, które się nigdy nie wróca, chodzi stepem ukraińnym szeroką nieogarnioną wzrokiem pustką, nie mający gdzie spocząć, chyba na mogile. Ten smutek wspomnień, to jest dusza stepu.

Z niego to lira ślepcy bierze tony swoje, w nim tają się złote ziarna pieśni, ziarna, które się rozkwieciły czarodziejską dumą.

Na całej dziedzinie ziem naszych, niema tak cudnie ośpiewanej przeszłości i ludowej doli, jak jest ośpiewana na tej Ukrainie.

Step, Dniepr i Pieśń oto jest jej dusza, jej wyraz, jej życie.

A tam, gdzie rzeki rozpruły, rozszarpały ziemię, aż do ich skalnego podłoża, siedzą w głębokich jarach zatajone futory. Nakryte szumem jaworów, oświetlone czerwienią kalin, rozzielenione sadem, wyłożone słonecznym kasztanem siedzą futory ciche, zadumane, gdzie u przełazka dotąd śpiewa dziewczyna o młodeckiej sławie Ukrainy. Pieśń ta sama, co niegdyś, i nuta, i echa też same, ale już to nie to, już nie to!

Tymczasem Dniepr wzmaga się, natęża, przyspiesza wartu, zanosí się coraz sroższym, coraz po-

tężniejszym gniewem, aż zagrzmie, zahuczy w skaliste poroży, i buchnie przez nie na łeb na szyję, nawalnością wód rozbitych, rozkipiałych w piany,

Widok ogromny i zachwycający.

Jak kiedy pieśń głosem śpiewana się urwie, a orkiestra w bębny i szele uderzy z piorunową siłą, tak Dniepr urywa nagle przeciągłe swe szumy, i stugromową salwą bije, pędzi przez łeb potwornego Nienaszynca, z progu na próg, z głazu na głaz, waląc w kotły i trąby uczynione przez siebie w odwiecznych, od dni potopu zwalonych tu skałach.

Aż się zmęczy, przesili, omdleje w słonych Limanach i wielkiem odlewiskiem dotoczy swe wody do Czarnego morza.

Aż dojdą tu ziemie nasze przyrodzonej granicy a miary, i przysuną się ku ostatniemu okrajowi swemu.

A u okraja tego stanie morze w swych potężnych szumach, i strzedz będzie granic tych, bijąc w nie tarczą srebrną na znak dzierżenia i na dobre prawo.

Wnet tam ograniczne, podolne dziedziny warszty na warszty czarnoziemiu nakładą, aż się wydzwigną potężnym połogiem i ku południowi spad wezmą. Wnet się tam rzeki przechybną tym spadem ku czarnomorskiej zapaści; wnet się od Bałtyku odwróć, wezmą wagę, gdzie je pęd poniesie, prując głębokie łożyska w tłustych, ciężkich ziemiach, aż do żywej samorodnej skały, która im się podłożem usłała.

Ta praca wód, te brzegi szarpane, darte, te falujące pagórami ziemie, te wielkie pasze, te łąny i ługi, te tchy czarnomorskie, które aż tutaj wiatr ciepły nosi, wszystko to tworzy świat osobny i pełen uroków.

Tu najpiękniejsze ciekł rzek, wijących się kręto po kamiennych żebrach wzgórz skalnych; tu jary tajemnicze, srebrnymi pyłami zasnuwane; tu roztocki potężne, tu ziemie ociężałe w bogactwie swych pól.

Cała ta połać ziem naszych między Dnieprem i Dniestrem, od Krzemieńczuga do Chocimia zamknięta, a przypierająca do Besarabskich stepów, cała ta podolna kraina jest żywą panoramą osobliwszej krasy.

Dzwonią tu ruczaje, pachną chlebne ziemie, lipina wiankiem po majdanach stoi, szumiąc pszczołym rojem, gną się pod ciężarem pól jabłonie i grusze, w zasobnej chacie, na wysoko usypanej przyźbie, dziewczyna-kalina weselne ręczniki wzorzyście wyszywa, a gospodyni słomą w piecu pali na kołacz, na biały, na pszenny.



IX.

Ale na zachód słońca płaskowyż ten zwolna się łamie, faluje, wznosi, zapada, utracą spokój ziem pólanych razem z ich niesłychaną płodnością i wkracza w dziedziny borowe.

Mroczy się tu świat, ugasa ze słonecznej żarzy, a cień głęboki, coraz głębszy, odcina go od złocistych łąków.

Idą bory.

Nie rozbiegają się, nie ścielą wdzięcznych przygajów, ale idą harde, zwarte, górne, rosnącą moc swoją czujące.

Tu siadły grody Czerwienne; tu Ruś Czerwona ociera się o chlebne Pokucie i o Huculszczyznę; tu rwący Prut grzmi po kamiennem podłożu; tu Seret, tu Czeremosz się siebrzy.

Od Czarnogóry, na wschodnie okraje, upada pomierzch głębokich borów bukowych; od Beskidu, na zachód, zawiewa wiatr halny. Przyroda jawi się tu w zapowiednich, mieniających się barwach. Cości wróży, cości zwiastuje, cości śni na jawie. Jakieś potężne stawanie się czuć w biciu jej pulsów.

Aż weźmie przewał wszystka jej moc twórcza ku zachodnim jugom, i pocznie rodzić kształty gwałtowne, niepohamowane.

I dźwignie się świat nowy, rozsili, rozpiętrzy, rozniesie, rozbuduje w sobie; zaskali powierzch luską krzemieniny i sztorcem przeciw le mieszowi stanie. Z dolin wstąpi na górcę, na regle, na hale, przyodzieje się w smreki i w kosodrzewinę, aż buchnie w omglone, dzikie, poszarpane wirchy i zamodrzeję na otoku nieba zębata koroną turnic.

A tak wyjawia się Tatry.

Wnet po nich grać poczną pienne Siklawy, wnet rozszumią się, rozstętnią Białe a Czarne Dunajce, wnet zajarzą, zapachną limby żywiczną okiścią, wnet strumieniste zdroje wyźlobią tajne przechody, wnet percie i źleby zadźwięczą znagła ruszone krzemieniną pod racicą kozic.

Jakieś olbrzymie wrota i wrzeciędzy, jakieś komory, jakieś Okna, jakieś jaskinie z przedpotopu jeszcze; jakoweś wieże, kościoły, zamczyska, jakoweś Mnichy skamieniałe z dziwu. Przyciąga to, oczynia urokliwie, mocno, upaja sobą do zapamiętania. Zasię odpycha, grozi i w śmierć strąca, wyjąc po przepaściach stuwichrowym chórem.

Inszy tu lud, inszy strój i kraj, insza przyprawa słowa, insze osiedla i chaty, inszy obyczaj, insze prawo życia. Na łów, na zbój rad chadza góral starodawny, od jarych lat swoich. Za orzydła się z nie dźwiedziem po wertepach wodzi, moc na moc, fortel na fortel i srogość na srogość. Z skałkówki go bije, a podczas i za gardziel garścią dusi. Czasem człek na wierzchu, czasem zwierz, przewala się kupą bary w bary, póki jeden drugiego nie zmoże.

Rzuci się taki ku światu; za graniem, za skałką na zasiadce rad siada, na kupce czatuje od węgierskiej strony. Czasem zdobycz, czasem szubienica, a zawsze junacka sława. Zasię gazduje dostojnie w chacie z cudnie rzezanym zazębem, koszar dla gazdziny stawi, juhasuje po halach, po reglach; a choć się tam ono i przygodzi, że niektórzy w kościele

idzie zapalić fajkę u ołtarza, statkuje przecie, i tylko kiedy się na ciupadze zeprze a w gęśliki zasłucha, przypomina z rodu prarodu one wyprawy szumne, one boje epickie, on dawny żywot, który już tylko w pieśni mu się jawi.

Ten ci jest świat wyniosły gór naszych, i ta ci jest granitowa zawora ziem Polskich.

Tu jest ich moc i jądro. Tu wybuch ich potęgi i dzikiego piękna. Tu utwierdzenie, na którym sparło się było w zamierzchłych przedczasach ono stare morze, z którego się wyłuskała cała ta kraina. To morze, które dotąd błyska w Tatrach jasnym swoim Okiem.

Tutaj to ziemie nasze, polne, otworzyste, przykłonne a łaskawe wszelakiemu życiu, biorą na lico rys ostry, surowy. Tu zamarszczają granitowe czoło. Tu zrzucają siermięgę oracza, a wdziewają królewskie szaty i ornaty. Piast—Kmieć wypuszcza tutaj z ręki grzędziel pługą, a jąwszy się berła i korony, na majestat siada.

Świat to tajemniczy i groźny, wspaniała granitowa karta, dopełniająca przedziwnie polny krajobraz Ziemi Polskich.

X.

Hej pola wy, pola! Hej, łany wy, łany! Oto
staję przed wami, jak przed skarbnicą przeszłości
i przyszłości naszej, jako przed arką, pełną żywego
ducha narodu mojego!

Czy na was pojrzę o zaraniu wiosny, wśród
huku pękających lodów, wśród szumu rzek naszych,
do dna mórz lecących; czyli żniw czasu stanę na
waszych niwach i roztoczach, zbożami złotych, kło-
sowym szumem głośnych; czyli jesień wymaluje
mi bory wasze w królewskie makaty, a puszcze
wasze napełni porykiem zwierza; czyli zapadnę
w knieje twych ostępów leśnych, czyli w kipiela-
ch wód twoich zabrodzę; czyli mnie osrebrzą światła
jezior twoich, czy step twój kurhanami zagada; czy
zima Tatrom twoim srebrne helmy wdzieje, czy
rozelśnią się przedemną fale twego morza,—zawsze
ty jedna, Matko, zawsze umiłowana i święta, zaw-
sze cała i nierozdzielna w duszy twego ludu!

„W Biblioteczce Narodowej”

Biblioteka Główna AP w Siedlcach

nr inw.: KG - 291



291

- Nr 1. „
„ 2. „ k.
„ 3. „
„ 4. „
„ 5. S
„ 6. N
„ 7. Konopnicka Maria „Ziemie pol-
skie” Krajobraz Cena 20 k.
„ 8. Malczewski A. „Marja” powieść „ 8 „

w druku:

Pol Wincenty „Pieśń o ziemi naszej”.

Niemcewicz „Śpiewy historyczne”.

Drogośław „Historia Polski”.

„ „Tadeusz Kościuszko”.

Krasiński Z. „Przedświt”.

„ „Psalm miłości”.

Mickiewicz „Księgi narodu polskiego i pielgrzym-
stwa polskiego”.

